

Nie zdawaliśmy sobie sprawy, jak mało wiedzieliśmy!

Międzynarodowy Festiwal Literatury: Dziesięć lat cudów

„Na ziemię, radośnie spada, gdy jest dojrzały, owoc. A wiersz na papier: po cichu zakrada się, chwyta długopis, spisuje siebie i znika”. Jak w utworze, który na Międzynarodowym Festiwalu Literatury (ilb) w 2004 r. przeczytał syryjski poeta Fuad Rifka (zmarły w 2011 r.) – Festiwal ten zakradł się do Berlina i nagle znajdował się w nim jak zjawą, jak wizja.

Przynajmniej tak to mogło zostać odebrane przez rozpieszczoną mnogością wydarzeń i imprez kulturalnych publiczność. Jednakże zanim odbył się w czerwcu 2001 r. – wyznaczający nowe standardy – cykl przemów inauguracyjnych Festiwal, Fundacja Petera Weissa wraz ze sponsorami pracowała nad nim już od lat. „Prognoza pogody dla utopii i okolic” – referat wygłoszony przez Charlesa Simica, Amerykanina serbskiego pochodzenia, proroczo i zarazem poetycko zarysował przyszły program Festiwalu. Nie mniej niż cały świat oraz wyobrażenia o nim, jego burze piaskowe i letnie chmury miały zamieszkać na niebie nad Berlinem.

Patos musi być. Od samego początku ilb miał lekkie zabarwienie megalomańskie i jego impresario Ulrich Schreiber robił wszystko by obrócić krytykę nieuporządkowanego natłoku wydarzeń w masowy zachwyty. „Nadpodaż” obiecywał Joachim Sartorius, gdy otwierał szóstą edycję Festiwalu swoim, jak zawsze, eleganckim lakonizmem: „pojawia się w pewnym momencie swoisty spokój, jeżeli pozwoli się rzeczom toczyć się własnym trybem”. Pod warunkiem, że można polegać na wysokiej jakości wszystkich, ale to naprawdę wszystkich, autorów i wydarzeń Festiwalu. Gdziekolwiek by się nie zbłądziło, nie zabłądzi się. Na marne można tu szukać modnego chłamu z listy bestsellerów czy taśmowo produkowanych tekstów prezenterów telewizyjnych, którzy gdzie indziej wypełniają stadiony piłkarskie. Nie znajdzie się tu też komercyjnych poradników życiowych ani populistycznych słamów poetyckich na ringu bokserskim. Jedynym kryterium, którym przy wyborze autorów kierują się Ulrich Schreiber i jego doradcy, jest jakość literatury. Jakość, w której zawiera się niewypowiedziane, ale oczywiste stwierdzenie, że każda dobra literatura posiada odpowiedzialność za ludzkość i sumienie polityczne, w najlepszym tego słowa znaczeniu. Ona „zawsze należała do dysydentów” – powiedziała, sypiąca anegdotami jak z rękawa, Isabel Allende. Nie tylko w otwierających Festiwal przemowach, wygłaszanych przez moralne autorytety, wśród których znajdowali się Aharon Appelfeld, David Grossman, ówczesny pełnomocnik ONZ Sashi Tharoor czy

czarująca aktywistka Arundhati Roy; nie tylko w zdecydowanie politycznych panelach dyskusyjnych z cyklu „Refleksje”. Nie. W każdej prozie, wierszu, w każdym hołdzie pięknu i ekspresywności języka, nawet w najbardziej błahych historiach drzemie potencjał uczynienia nas lepszymi ludźmi. Jak powiedziała Nancy Huston w przemowie inauguracyjnej w 2008 r.: „Kobiety są bardziej cywilizowane niż mężczyźni – nie tylko dlatego, że czytają więcej powieści, ale ponieważ... czytanie przyzwyczało je do patrzenia na świat oczami innych”.

Admiracja dla pisarzy jest jednak cicha. Oczywiście odbywają się też wieczory literackie, na których może być głośno i burzliwie, a ze względu na pokaźne grono gwiazd, fani też czasami dają o sobie znać. Laureaci Nagrody Nobla: Kenzaburo Oe, Nadine Gordimer, Doris Lessing, Mario Vargas Llosa oraz potencjalni kandydaci do niej tacy jak Ko Un albo (w między czasie niestety zmarła) królowa poezji Inger Christiansen – oni wszyscy pojawili się przed purytańską kurtyną Jacoba Mattnera. Jane Birkin wyszeptwała reminiscencje Serge’a Gainsbourga, szkocka hardcorowa romantyczka AL Kennedy drwiąco nazwała samą siebie „lesbijską przedsiębiorczynią pogrzebową”, portugalski grand seigneur Antonio Lobo Antunes zaintonował postkolonialny chór winnych, wolnomyśliciel Michael Ondaatje mrucał tylko lakoniczne „mhmm”, Chuck Palahniuk ogłosił, że palenie uważa za czynność spirytualną, a pijący wino musujące Irlandczyk Matthew Sweeney zagrał na kórkach walizki podróźnej przed budką z jedzeniem.

Najlepszą rzeczą, która może się nam przytrafić, jest danie się zaskoczyć postaci w ogóle nam nieznannej. Parafrazując manifest Stephané’a Hesselsa “Indignez-vous!” („Czas oburzenia!”) i jego kontynuacji „Engagez-vous!”, motto Festiwalu mogłoby brzmieć „Zadziwcie się!”. Najbardziej interesująco jest, gdy prezentowane są wschodzące gwiazdy. Colum McCann, Alexandar Hemon, Tim Parks, Monica Ali, Kamila Shamsie, Sayed Kashua, Safran Foer Kazuo Ishiguro, Peter Carey, Jonathan Lethem, Nicole Krauss, Antje Krog, Frederic Beigbeder, Vikram Seth, Frank McCourt, Joshua Ferris, Khaled Al Khamissi i fińsko-estońska czyścowa feministka Sofi Oksanen – oni wszyscy tu byli, obok osób o nazwiskach, które mimo szczerych chęci niełatwo jest zapamiętać. Ale kto wie, co jeszcze nam powiedzą w przyszłości Rattawut Lapcharoensap, Natalia Sniadanke, Nicolta Esinencu i Aka Morchiladze. Z prawie żadnego z jakże licznych wydarzeń festiwalowych nie wraca się do domu bez ochoty na bezzwłoczne zabranie się do dalszej lektury.

Luźna atmosfera Festiwalu zapewnia chwile wytchnienia w pozornie anarchistycznym mrowiu teraźniejszości. Wśród ponad tysiąca zaproszonych pisarzy nie ma takiej osoby, która by nie zachwalała perfekcyjnej organizacji, serdecznej opieki, wina i inspirującej gościnności oraz konsekwentnie nie ogłaszała Międzynarodowego Festiwalu Literatury najlepszym festiwalem literackim świata. „Nie każdy ma szczęście posiadać taki festiwal, który zaprasza pisarzy z całego świata, miesza wszystkie gatunki i oferuje na tej samej scenie poezję i refleksję, dzień i noc, słońce i księżyc” – napisał pochodzący z Dżibuti, ale mieszkający we Francji Abdourahman A. Waberi. Być częścią tego wydarzenia znaczy tyle, co „wiedzieć, że Ziemia się kręci” – wyjaśniał. Szczęściem tym my, widzowie, możemy się z nim dzielić.

Następnym, niebagatelnym cudem Międzynarodowego Festiwalu Literatury jest fakt, że pomimo 10-letniego pasma sukcesów nie działa on ani trochę w sposób szampowy i utarty. Nie utracił ani swojej nieprzewidywalności, ani – wielokrotnie komplementowanego – urokliwego chaosu. Pod pozornie wymykającym się spod kontroli bogactwem programu kryje się możliwość empatii i odkrywania. Co komu po ładzie i porządku, gdy chodzi o to by dać się oczarować i porwać w inne światy? Wysoce zaraźliwy entuzjazm bije od osoby Uli Schreibera. Dictum Nietzschego: „Trzeba mieć chaos w sobie, by narodzić tańczącą gwiazdę” mogłoby się do niego odnosić. Ciekawość obcej literatury i stale nowych autorów jest tak nienasycona, jak godna podziwu. „Nie zdawaliśmy sobie sprawy, jak mało wiedzieliśmy” – tym pokornym wyznaniem otworzył Uli Schreiber w 2008 r. edycję Festiwalu koncentrującą się wokół tematu Afryki. To samo mógłby powiedzieć w odniesieniu do wcześniejszych i późniejszych tematów przewodnich: arabskiego, azjatyckiego, latynoamerykańskiego, właściwie to wszystkich i przekonać nas tym samym o niespodziewanym bogactwie literatury wartym odkrycia. Swoją nieodpartą pasją zaraża on rokrocznie zastępy praktykantów i wolontariuszy – ich parada na rozpoczęcie Festiwalu stała się już znakiem rozpoznawczym. Udaje się mu też pozyskiwać niekonwencjonalnych sponsorów, których wsparcie – ku przerażeniu księgowych – przyjmuje często formę barteru. Dzięki swoim osiągnięciom politycy nie mogą go już dłużej ignorować i czasami nawet wygłaszają słowo powitalne podczas inauguracji Festiwalu. Przy tym wszystkim branża literacka, sama w sobie, nie jest pełna splendoru. Nie odbywają się tu wytworne przyjęcia, sztywne imprezy ani gale dla VIP-ów. Stół, krzesło, szklanka wody – to wszystko, co jest potrzebne. Narrator i odbiorca. Tłumacz, aktor, moderator i jeszcze być może, dla wprowadzenia w odpowiedni nastrój, kilka przekreślonych gam w wykonaniu akordeonisty Aydara Gaynullina („Prezent z

księżycą”), parę lirycznych klasterów syberyjskiego gitarzysty Alexeja Wagnera lub pojedyncze uderzenie gongu przed skoncentrowaną ciszą.

Po 4-letniej tułaczce od teatru HAU na Kreuzbergu do Sophiensälen w dzielnicy Mitte, w 2005 r. znalazł ilb swój dom w Haus der Berliner Festspiele. Ten, używany kiedyś przez Piscator Freie Volksbühne, podniszczony szklano-betonowym budynku z 1963 r., który znajduje się w międzyczasie lekko opustoszałej zachodniej części Berlina, okazał się być prawdziwie szczęśliwym zrzędzeniem losu, nie tylko dlatego, że jego menedżer jest miłośnikiem literatury. Scena główna i boczna mogą być wykorzystywane w tym samym czasie, a surowy górny i dolny foyer, z poduchami do siedzenia w kształcie prostopadłościaków i modnie ponurymi barami, są idealnym miejscem by wypełnić je polifonicznymi szeptanymi obietnic. Bar, eufemistycznie nazywany „Café Nabokov”, wypełnia się mimo cichej przekory życiem tych, którzy ojczyznę znajdują w historiach. Pozostali idą do namiotu – strefy z sofami dla pisarzy, współpracowników, gości i dla tych, którzy są na tyle butni, by samym się zaprosić. Tam właśnie bije prawdziwe serce Festiwalu. Na wytartych pluszowych sofach z rekwizytorni teatralnej pite jest wino od sponsorów i kawa, tu składane są oferty małżeństw i pisane są utwory, które nigdy nie zostaną opublikowane. Tutaj rezyduje Eliot Weinberger, przynajmniej dopóki nie zacznie się tango, i tutaj tylko „troszeczkę dominująca” Isabel Allende przedstawia swojego męża, który właśnie napisał powieść kryminalną. Piękno i władza, sukces i bogactwo się tu nie liczą – tu świętuje bezklasowe społeczeństwo literatów, w którym papierosy i wizje nie są objęte prawem własności. To jest właśnie duch Międzynarodowego Festiwalu Literatury. To jest niesamowity prezent dla nas wszystkich. 10 lat cudów!

Sabine Vogel

Tłumaczenie na język polski: Maja Różyło

Tekst został opublikowany w „Buch der Berliner Festspiele”, wydanej na 10-lecie dyrektury Joachima Sartoriusa. Wydawca: Berliner Festspiele, 2011.